

klimatyzacja, to z pewnością dobroczyńcy przyjemnego dotyku chłodu. Trzymam w dłoni klucz o numerze 707 i poczytuję to za dobrą monetę. Na podróżników czeka basen, w którym widowiskowo marszczy się woda, gotowa na doznania turystów.

Inny natrysk mający swój początek przy akwenowych płytach tworzy huk tańczących w powietrzu kropelek pobudzając krążenie przeźroczystych piramidek wzruszonej tym zjawiskiem perlistej tafli.

Zza ścian wychylają się sagowce dumne ze swoich pióropuszy. Są nawet niewielkie działeczki pietruszki i szczypiorku. Choć nie lubię spodni, na drogę zakładam przewiewne, wygodne, marokańskie szarawary o pustynnym kolorze i tkanym wzornictwie na nogawkach. W sam raz wkomponują się w pustynny pejzaż.

Jeden z Tuagerów – czyli ludzi pustyni prowadzi jeepa. Choć słońcu przygasa nieco entuzjazm, nadal jest niebezpieczne. Przed potem na plecach chroni dobrze „mrożące” auto. Merzuga wydaje się być o tej porze wymarłym miastem. Po sporym odcinku asfaltówki jeep zjeżdża w kamienisto-piaszczysty teren zwany hamadą, ale ze względu na charakter pojazdu nie odczuwa się tego tak bardzo.



Źródło: Wikipedia

Tuagerowie – ludzie pustyni

Przyciemnione szyby i sącząca się z radia berberyjska muzyka tylko potęgują nastrój oczekiwania. Pani przewodnik ze zwykłym sobie spokojem, tak cennym w jej zawodzie zadaje kierowcy pytania, lub nawiązuje konwersację z pasażerami. Po jakimś czasie pozostałe jeepy równolegle włączają się w ten planetarny szlak inwazji egzotyki. Majszterszytk obrazu, który wtedy powstaje godny jest utrwalenia wszelkimi środkami sztuki.

Przez okno widać jak koła aut pulsują w piachu, powodując tuman kurzowej gonitwy. Szaleńcza jazda prowadzi do Sahary. Jeszcze chwila, moment, aby dostąpić zaszczytu

obcowania z królową pustyń. Na horyzoncie ocean wydm. Wrażenie nieporównywalne do niczego innego. Polerowane przygodą, ciekawością świata, świetlistą reinkarnacją rzeczywistości. Zwierzęta już meldują swą gotowość do podróży.

Wielbłąd unosi zad, a następnie głowę. Wita się ze mną w oryginalny sposób przeżuując slinę. Po czym ląduję na jego garbie starając się jak najlepiej usadować. Dalej kroczy kolejny i następny powiązani w karawanę. Nie mam pewności, czy mnie nie strąci, ale decyzja już zapadła. Tuaregowie wskazują drogę. Nagle zwierzę idące za mną podsuwa mi swój pysk, okazując przy tym, że pała do mojej osoby bliżej nieokreślonym uczuciem. Wzbudza to gromkie wybuchy śmiechu współtowarzyszek.

Nogi wielbłąda zapadają się w piach, po czym znowu wyzwalają, aby dalej kroczyć po wydmach i barchanach. Mój ma barwę ciemnego brązu, choć miejscami jest wyleniąły. Czuję każdy jego garb. Zadziera głowę do góry dumny, że może powozić na swoim grzbiecie coraz to nowe osoby. Traktuje mnie poważnie, jak przyjaciela, prosząc o zaufanie tklivymi oczyma. Zna przecież bardzo dobrze fach, który wykonuje.

Docieram z karawaną na środek Wielkiego Ergu. Wreszcie odpoczynek. Ciało ulega kosmicznemu odprężeniu. Krystalizują się marzenia, opalizując pokładami energii i kolorów. Sahara masuje nogi prądami wiecznych fal piasku. Wraz z nadchodzącym zachodem słońca chłodzi i uspokaja. Wiatr rzeźbi zagłębienia. Szumi w uszach melodię tysięcy wędrowników. Wzmaga się, przyspiesza. Małe kępki traw są tak mocno usadowione w podłożu, że trudno je wyrwać. Chętnie za to przyjmują namiętne pocałunki szergiego. Cienie wielbłądów mającą gorączką.

Daleko przed sobą widzę karawanę znikającą w wydmach, która zamienia się w coraz mniejsze punkciki. Nagle zza jednej z nich wyląta się rajdowy samochód z lekkością pokonując Wielki Erg Chebbi. Trwają przygotowania do wyścigów. Rozpływa się gdzieś w tym ogromie warkot silnika. Niedługo potem chłopiec na rowerze niczym zając przeskakuje między niebosiężnymi łańdami piachu. Oczom nie wierzę jak sprawnie to robi. Odchodzę nieco dalej, by w samotności pokontemplować tę osobliwą chwilę.

Prawie w tym samym momencie zjawia się przy mnie człowiek pustyni. Przygląda się mojej pierwszej próbie umieszczenia cząstki Sahary w butelce. Niestety, dno naczynia jest wilgotne, więc wysypuję drobiniki i robię pauzę. Peszy mnie trochę obecność Tuarega. Z tajemniczym uśmiechem zagarnia dłońmi piach, a zadziorny wiatr chce go pochwyć i uwolnić, ale nadaremnie. Berberyjski mężczyzna robi to zręcznie i szybko. Miliardy ziarenek wypełniają butelkę, zamknięte niczym Dżin w lampie Alladyne.

Coraz efektywniej. W dali czerwień miota się z brązem, oszałamiając mimiką podmuchu swego erotyzmu. Słyszę bzyczenie muchy, a w górze samolot. Wiatr przybiera na sile jak mustang. Słońce oblewa wzgórze diademem improwizacji, gaśnie i rozpala

jeszcze w nieprzytomnej od kolorytu gwieździe. Te najdalsze wydmy zalewa ciemność. Ich puls przechodzi w żółć aż po purpurę z pomarańczowym gorsetem. Profile odcinają się wyraźnie od urzeczonego nieboskłonu. Znowu łagodnieją barwą, wyróżniane pięknem i subtelnością. Koncert przenikających się ze sobą tasiemek aury trwa w najlepsze. Pustynia tańczy bluesem snu.

Charakteryzacja wydm płoszy nawet myśli skupione pod słomkowym kapeluszem. Fatamorgany klejnotów złotych piramidek piasku toczą ekstazę zdumienia w tęczęwce oka. Kosmyki włosów zbierają ciepło słońca i nasączają nimi bodźce ciała. Szept aniołów przybywa z wachlarzem fanfarów. Dzikie aplauz skrywanych pod wyspami ziarenek kości ludzi i zwierząt, wspólnie z pełzającym grzechotnikiem daje się wyłuskać w potężde natchnienia żywiołów.

Tabun trosk ulatnia się, a ja kreuję oddech magii w tak specyficznym punkcie wszechświata.

Sahara zacieśnia się we mnie pierścieniem fascynacji. W drodze powrotnej odmawiam wielbłąda. Próbuje o własnych nogach przebyć tę samą trasę. Ślady formowane ludzkimi stopami sprawiają trudności. Lepiej iść po zboczach wydm, gdzie piach tylko tymczasowo jest sztywny i nieco pomarszczony. Przy dotknięciu nogą rozpada się jak kruszywo. Wielbłąd idzie sam. Błękitny rycerz czyta w myślach i podchodzi do mnie ze zwierzęciem. Garbus w tym momencie jest na wagę złota. Zaczynam wierzyć, że istotnie został on stworzony do pokonywania pustyni. Wielbłądy docierając z pasażerami do celu są już bardzo zmęczone. Nigdzie już dziś nie wyruszają. Basta. W końcu i im należy się odpoczynek. Przy jeepach czekają młodzi Tuaregowie w błękitnych odzieniach. Są wizytówką Wielkiego Ergu.

Karmazynowe słońce powoli dogasa wsysając w duszę człowieka tęsknotę pustynnej mozaiki. Oddalając się od serca Sahary czuję w oku kręcącą się łzę. Merzuga to nie to samo miasto. Pełno tłumów na ulicy, niczym w największych stolicach świata. Motocyklowe slalomy budzą emocje. Trzeba zwłaszcza uważać na światłach. Otwarte kawiarenki kuszą aromatycznym płasem kawowego dymu. Kobiety z dziećmi wykorzystują rześkość powietrza do spacerów i zabaw. Zmęczenie miesza się z radością. Droga upływa niemal w milczeniu oraz regeneracji sił.

W Erfoud księżyc w pełni. Jego światło polaryzuje koronkę nieba i zachwyca. Gwiazdy schodzą tuż pod moje ramię. Między łukami afrykańskiego hotelu wyrastają trzy palmy o czupurnych kształtach. Płactwo czaruje noc.

Wczesnym rankiem promienie rozpalają okienną moskitierę, ślizgając się po meblach, złocą je perlistą posypką. Słońce powoli rozkręca swój pociąg żaru. Zapowiada się kolejny absorbujący fizycznie i emocjonalnie dzień.

